

„EQUUS”

Jan Klossowicz

Equus Petera Shaffera ukazuje się w Polsce ze znacznym opóźnieniem. Dopiero w lecie zeszłego roku zdecydował się na opublikowanie przekładu *Dialog*, a jesienią odbyła się polska prapremiera w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Dzisiaj trzeba już przypominać sukcesy tej sztuki granej na wszystkich kontynentach i bijącej rekordy powodzenia. Nie tylko zresztą przypominać, ale chyba i zastanowić się skąd się te sukcesy wzięły. Najkrócej mówiąc, Shafferowi udało się chyba w sposób niemal mistrzowski wykorzystać i spożytkować coś, co było w czasach kiedy pisał *Equusa*, najbardziej modne. Z jednej strony kolejny wzrost zainteresowania psychoanalizą i w ogóle różnymi, szczególnie patologicznymi, aspektami psychiki ludzkiej, z drugiej strony, fascynacja inscenizacyjnym nowatorstwem jakie przyniósł w latach sześćdziesiątych „nowy teatr”.

Shaffer nie napisał na pewno odkrywczego tekstu o mrocznych głębiach psychiki, na miarę nowego *Edypa*, a w bardzo wyraźnie sprecyzowanej wizualnej i ruchowej warstwie swojej sztuki nie wyszedł poza znane doświadczenia współczesnej sobie awangardy teatralnej. Natomiast niezwykle zreżymie posłużył się najnowszymi najbardziej modnymi odkryciami z dziedziny psychoanalizy obdarzając swojego bohatera skomplikowanym zespołem obciążeń —

kompleksu *Edypa*, impotencji, hippomanii, kastracji, sadyzmu itp., a jednocześnie oparł całą fabułę na historii badania, czy też niemal detektywistycznego śledztwa, jakie wobec młodego Alana — prowadzi drugi bohater sztuki — psycholog, Dysart. Przy czym, oczywiście okazuje się, że sam psycholog też ma kompleksy i jest wobec nich bezsilny. Trochę tak, jak w *Wariacie i zakonniccy* Witkacego, napisanym w okresie mody na psychoanalizę w latach dwudziestych. Tylko, że tam było wszystko na groteskowo, a tu jest bardzo serio, ale wiadomo, że Anglosasi zawsze dużo poważniej traktowali problemy zaburzeń psychiczno-seksualnych niż Polacy, a w ogóle nasza literatura na temat płci i miłości cielesnej i spraw z tym związanych jest wyjątkowo uboga. Ostatnio, wraz z rozwojem cywilizacji przemysłowej w naszym kraju i związanymi z tym frustracjami i kłeskami żywiołowymi problematyka ta zdaje się dotyczyć i polskiego społeczeństwa.

Sceniczny kształt *Equusa*, który Shaffer opisał w didaskaliach bardzo dokładnie i z którymi mocno związał przebieg akcji, stanowi mieszaninę nowych koncepcji komponowania przestrzeni gry, pantomimy (aktorzy grający nieme role koni), nagości (kulminacyjna scena nieudanego — jak to po polsku napisał — „miłosnego zbliżenia” Alana i Jill), oraz najnowszej techniki oświetleniowej i dźwiękowej.

Jest to sztuka niezwykle efektowna, bardzo zręczna, świetnie skomponowana, zawierająca obok wspomnianych już Alana, Dysarta i Jill, inne doskonałe role, dająca możliwość popisu reżyserowi (pantomimiczne sceny z końmi) i epatująca pozorami psychologicznych głębi. Czy tylko pozorami? Na ten temat zdania są podzielone. Osobiście u-

ważam, że problematyka psychologiczna czy raczej psychopatologiczna, której dotyczy tu Shaffer, wcale nie jest pozorna, natomiast on sam na jej temat nie mówi nic nowego ani oryginalnego tylko się nią posługuje lub też po prostu ją ze sceny relacjonuje. Uważam też, że wydrukowanie przekładu i zagranie w teatrze *Equusa* stanowiło swoisty obowiązek wobec polskich widzów, którzy powinni byli przekonać się jak jeden z największych światowych sukcesów teatralnych naprawdę wygląda, zamiast zdawać się na opinie różnych sprawozdawców czy korespondentów.

Wrocławską prapremiera *Equusa* jest przedstawieniem, które może dać pojęcie o tym, czym była sztuka Shaffera kiedy stanowiła wydarzenie. Dzisiaj jej kształt teatralny wydaje się przestarzały i wtórny, szczególnie dla przywykłej do festiwalu teatru otwartego publiczności wrocławskiej. Henryk Tomaszewski niczego od siebie do pomysłów Shaffera nie dodał. Nawet sceny pantomimiczne rozegrał bardzo powściągliwie i wyłącznie w ramach autorskich didaskaliów, choć dobrze wiadomo, że sam na podobny temat miałby pomysły dużo ciekawsze. Raczej okroił i ściemniał autorską inwencję inscenizacyjną. Również Marcin Wenzel raczej trzymał się scenograficznych wskazań z tekstu sztuki. Może też obaj mieli rację. Wymyślać czegoś szczególnego na kanwie *Equusa* chyba nie warto, lepiej więc było pokazać po prostu tę sztukę taką, jak jest.

Inaczej ma się sprawa z wykonaniem aktorskim. Tutaj trzeba od razu powiedzieć, że równie ważna jak młodzi (Alan i Jill), para starszych bohaterów (Dysart i sędzia Hester) została potraktowana nie najlepiej. Ani Igorowi Przegrodzkiemu, ani Jadwidze Skupnik ja-



FOT. WOJCIECH PLEWINSKI

koś te role nie leżą, a reżyser zdaje się do nich nie przywiązywać wagi. Natomiast zarówno Bogdan Koca (Alan) jak Halina Śmiela (Jill) zagrali bardzo dobrze parę młodych. Są tacy, jacy powinni chyba być. Oboje sporo już umieją, a jednocześnie zachowali świeżość i swoista naiwność wynikająca z bezpośredniego, nie intelektualnego jeszcze podejścia do kreowanej postaci. Stąd w ich relacjach autentyzm i prawda, która przebija się ponad nabudowane przez Shaffera kompleksy i obsesje (dotyczy to szczególnie Kocy).

Nie jest to przedstawienie oczywiście

tylko „relacją ze sztuki Shaffera, która była światowym szlagierem”, znaczy i mówi coś samo od siebie. A publiczność przyjmuje je bardzo dobrze. Nie jest to też gwóźdź sezonu ani wydarzenie, ale ciekawa pozycja, taka, jakich zbyt mało się w naszych teatrach pojawia i na które zbyt mało zwraca się uwagi.

Teatr Polski we Wrocławiu. Peter Shaffer: *Equus*. Przekład: Zofia Chądzyńska, Jolanta Grynkiewicz. Inszenizacja i reżyseria: Henryk Tomaszewski. Scenografia: Marcin Wenzel. Muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera w listopadzie 1978 r.